

Z ogromną przyjemnością prezentujemy Państwu na łamach „Nowin Gniewskich” powieść w odcinkach Joanny Jodelki pt. Panny Gniewu Siostry Raj. Zapraszamy do delektowania się lekturą zakorzenioną w Gniewie. Polecamy Państwu serdecznie tę rubrykę. Dziś pierwszy odcinek wyjątkowej powieści, która pachnie Gniewem i jak Gniew zachwyca!

Panny Gniewu

Siostry Raj

Gniew nie zasypia

Przynajmniej tak pomyślała Szewcowa podnosząc głowę i patrząc w górę. W małym oknie, które opierało się o bruk chodnika, widziała przechodzące nogi. W te i we w te. W te i we w te. Nic dziwnego, noc była letnia i przyjemna. Na miejskim rynku ciągle jeszcze kręcono się wiele osób, a każdy na swój sposób. Zakapturzona młodzież jak zwykle, szurając wielkimi, sportowymi buciorami, w których niejednokrotnie podklejała podeszwy. Adidasy kosztowały tyle, że podeszwa powinna ani drgnąć... Ale cóż... westchnęła patrząc na drewniany patyczek zanurzony w stoiku z klejem. Klej, który teraz miała, był niby najlepszy na rynku, żółtawy, gęsty, prawie bezzapachowy, ale gdzie mu tam do tego różowego, tego sprzed dwudziestu lat! Ten miał zapach taki, że nie jeden zaciągał się nosem głęboko, jak tylko otworzył drzwi zakładu szewskiego. I to z jakim zadowoleniem! Każdy z zamkniętymi oczami mógł powiedzieć, że jest u szewca, nigdzie indziej. A jak ten klej klei... Posmarować, zostawić na noc i jakby kto chciał, to nie oderwał. Taki był mocny. A teraz... Beznadziejny, jak te buty. Wzruszyła ramionami odkładając patyczek i zakręcając stoik. A te fleki... popatrzyła w górę spoglądając na stukające za oknem szpilki. Przecież kiedyś też po bruku spacerowały. Też się ścierały, ale żeby tak! Jeszcze dwa okrążenia po rynku, trzy razy do kościoła i znowu do mnie trafią. Tak samo jak sandały, popychającej wózek dziewczyny. Paski się zaraz poodrywają... popurują... powyłażą... pokiwała do siebie głową, od czasu do czasu, zerkając na chodnik.

Nie pamiętała, kiedy miała tyle roboty, a do tak późna pracować nie mogła. Pokręciła się na siedząco, poprzeciągała, aż krzesło zatrzeszczało. Kręgosłup na starość bolał i noga dokuczwała, ale do renty dorobić musiała, a poza tym, co ma sama w domu siedzieć. Przynajmniej na ludzi popatrzy, pogada trochę, posłucha. Dobrze, że umie te buty naprawiać, choć przecież się nigdy nie uczyła. To mąż był szewcem, a ona szewcową, żoną szewca. Ale przez lata napatrzyła się, jak się zeluje, flekuje, zszywa cholewki, poleruje podeszwy. Nie raz z mężem, a i za niego buty naprawiała. Od kiedy zmarł sama w zakładzie urzędowała ciągle jako Szewcowa, którą wszyscy w miasteczku znali. Ludzie się na ulicy kłaniali, bo prawie każdy coś u niej naprawiał i wcześniej

czy później schodkami w dół do warsztatu schodził. Łatwo było trafić. Szyld nie zmienił się od dziesięcioleci, kartka „Zaraz wracam” ta sama od dwudziestu lat, a stary dobry szewski Singer zszywał buty już pewnie od wieku. Popatrzyła ckliwie na maszynę. Ona też staruszka, potrafiła już kapryścić. Czasami dobrze szyła, czasami nie. Ostatnio jak igła się złamała i wpadła do środka, to zaczęła nitki płatać, ale dzięki ludzkiej pomocy dało się i to naprawić. Bo co tu się może popsuć, jak pedał działa, koło się kręci, jedynie igły nowe, więc nie tak dobre jak kiedyś. Chyba maszyna też ich nie lubi.

Poprawiła fartuch wzięta do ręki obcęgi i wyciągnęła dwa gwoździe wystające z podeszwy. Te buty zostawi na jutro. Dziś już i tak dużo zrobiła.

Na starym kontuarze stało kilka par do odebrania, jedno do zszycia i coś w torbie przyniesione. Wszystko od filmowców. Ci już od trzech tygodni zachodzili. To podkleić, to rozciągnąć, to naprawić. Kamasze, pantofelki, oficerki a wszystko to niby na raz. Podeszwa z tektury, skóra z plastiku, zamiesz z materiału, wszystko się w palcach rozłaziło. Najtańsza tanizna. Świat zwariował.

– Po co robić buty na raz? – pytała Szewcowa. – Chyba, że do trumny? Miła dziewczyna z ekipy filmowej uśmiechała się tylko i prosita.

– Pani Halino, na już, na teraz... nieważne, nie szkodzi... – słuchała i kręciła głową zastanawiając się, skąd dziewczyna wie jak jej na imię, pewnie niektórzy w mieście nie pamiętali, nazywając ją zwyczajnie Szewcową. – Pani Halinko, niech się rozklei... byle po zdjęciach – powtarzała roztrzępana dziewczyna – Te pantofle jutro mają zagrać, a potem będą niepotrzebne. Te buciora, tylko dla dragonów, w jednej scenie bitewnej grają. Potem do wyrzucenia. Niech się rozpadają, przecież i tak nikt w tym chodził nie będzie, pokazywała na żółte kamasze.

– Jo – przytaknęła Szewcowa, prorokując, że jak będzie padać, to i tej jednej sceny zagrać nie dadzą rady.

Ziewnęła i uznała, że czas pocztapać na górę do mieszkania. Poukładała na stole młotki, obcęgi, szydła, noże, nożyczki, szpilorki. Wszystko musiało być na swoim miejscu. Sprawdziła jeszcze kieszenie w fartuchu, czy czegoś do domu nie wynosi, a później szukać będzie. Ustawiła równiutko pary butów czekające do oddania. Zajrzała jeszcze do papierowej torby,

choć ostrzegła, że dopiero jutro się nowym pakunkiem zajmie. Z ciekawości pociągnęła za długie żółte cholewki. Rajtary, chyba – pomyślała patrząc na stylizowane oficerki. Skrzywiła się, gdy tylko zobaczyła podeszwy. Cate były upačkane jakąś mazią. Już raz przećwiczyła dziewczynę, że to nieładnie ubłocone buty do szewca przynosić... a teraz znowu! Już zamierzła odłożyć, gdy przypomniała sobie, że to nie ona je przyniosła, tylko ktoś, kto wpadł i wypadł. Nawet go nie zapamiętała. Do rana to się przyklei, wsiąknie, przebarwi udający skórę materiał... Westchnęła głęboko i wyjęła z kosza starą szmatę. Umoczyła w spirytusie ze stoika i przetarła dokładnie podeszwę. Wyjęła drugi but. Ten był czysty, choć coś w środku zagrzechało. Wsadziła rękę i wyciągnęła kilka dziwnych zapinek. Ozdoby do butów? Mate srebrne kwadraciki. Może centymetr na dwa? Miały w środku czerwony kamyk, wciśnięty w piramidkę. Wystający stożek otoczony był plecionką z wijących się drucików udających mate listki na gałązkach. Ładne to – pomyślała. Pewnie gdzieś do butów trzeba będzie przypiąć? Wrzuciła z powrotem do środka. Jutro się dowiem. Papierową torbę odstawiła za kontuar. Zaróżowioną szmatę wrzuciła do kosza. Zamknęła warsztat.

Rano, gdy zeszła z góry, zatrzymała się pod drzwiami szukając klucza w kieszeni fartucha. Znalazła, ale szybko okazało się, że nie jest potrzebny. Drzwi były otwarte, a stary zamek zwiślał na jednej śrubce.

– Co jest!?! – złapała się za głowę wchodząc do warsztatu. Buty były pozzrucane z półek. Drewniane prawidła wały się po podłodze. Młotki, obcęgi, szydła pospadały z przesuniętego pod ścianę stołu.

– Nic nie zginęło? – zapytała sąsiadka z przeciwległej pierzei rynku, która zaszła z samego rana i z wrażenia utknęła w progu trzymając za obcasy parę różowych szpilek.

– A co by tu miało zginąć? Stare radio? Stare buty? Stuletnia maszyna? – zachodziła w głowę Szewcowa sprząając porozzrucane narzędzia. – Łobuzy pewnie jakieś?

Minęła dobra godzina nim zorientowała się, że jednak czegoś brakowało. Po żółtych kamaszach z zapinkami w środku została tylko papierowa torba. ■